

## **„DLA SIEBIE CZY DLA LUDZI?”**

**(„Polityka” Nr 9, 28.02.1981)**

*Ze Zdzisławem Beksińskim rozmawia Krystyna Nastulanka*

**N.: Kiedy zadzwoniłam do pana z prośbą o rozmowę, powiedział pan, abyśmy to spotkanie trochę odłożyli, ponieważ według horoskopu ma pan akurat złe dni.**

**Wierzy pan w astrologię?**

**B.: Powiedzmy, że wierzę we wszystko.**

**N.: We wszystko to jak gdyby w nic.**

B.: Jestem łatwowierny wszędzie tam, gdzie mam do czynienia ze sprawami niemożliwymi do sprawdzenia. A więc wierzę w astrologię, parapsychologię czy psychotronikę. Jestem także skłonny uwierzyć w zielonych ludzików z antenami na głowach, wróżby, itd., itp., we wszystko co irracjonalne. Dziwi się pani?

**N.: Nie. Już pana obrazy zapowiadają niekonwencjonalną osobowość, poza tym ma pan swoją legendę. Mówi się np. że lubi pan warkot traktora a nie znosi szczekania psów, że nie przeszkadza panu jęk odkurzacza, natomiast przeszkadza śpiew ptaków i wiele innych dziwnych rzeczy. A więc na niespodzianki byłam przygotowana. Pierwsza spotkała mnie już na progu pracowni, która nie przypomina żadnej ze znanych mi pracowni malarskich. Gdyby nie obrazy na ścianach, mogłoby się wydawać, że jest to pokój do pracy inżyniera elektronika np.**

B.: To, co pani tu widzi, to aparatura muzyczna i taśmoteka.

**N.: Jest pan więc melomanem.**

B.: Słucham muzyki przez dziesięć a nawet czternaście godzin dziennie. W porze ciszy nocnej korzystam ze słuchawek, żeby sąsiedzi nie poszaleli, bo lubię muzykę głośną.

**N.: Ale chyba nie za głośną?**

B.: Nie ma dla mnie muzyki za głośnej. Najchętniej rozkręciłbym muzykę na pełny regulator, a marzyłbym o tym, żeby muzyka wydobywała się nie tylko z umieszczonych na ścianach głośników stereofonicznych, ale także z sufitu i z podłogi i żeby się znajdować gdzieś w punkcie centralnym nacierających na mnie dźwięków, żebym był przez nie unieruchomiony, zawieszony jak gdyby w tej poduszce dźwięków. Niestety, w bloku nie jest to możliwe. Musze słuchać z umiarkowaną głośnością, która nie da się w

najmniejszym stopniu porównać z huraganem muzyki, jaki miałem w swoim dawnym domu w Sanoku.

**N.: Pracuje pan przy muzyce?**

B.: Nie umiem inaczej.

**N.: A czy to, co pan maluje koresponduje jakoś z tym, czego pan słucha?**

B.: Nie, maluję jeden obraz bardzo długo, a więc słucham w tym czasie rozmaitych utworów.

**N.: Muzyka jakiego okresu jest panu najbliższa?**

B.: Gdzieś od Schuberta do wczesnego Schonberga. A ostatnio także muzyk najnowsza, która zaczyna w coraz większym stopniu nawiązywać do wieku XIX.

**N.: Przed Schuberta pan nie sięga?**

B.: Nie. Nie lubię muzyki barokowej, jako nadmiernie uporządkowanej. Choć bardzo cenię malarstwo baroku w przeciwieństwie do np. Dawida, którego wręcz nie cierpię. Gdy potrzebuję czegoś uporządkowanego, wolę zabawę z komputerkiem casio.

**N.: Najważniejsza jest dla pana ekspresja?**

B.: Mój Boże, ja na muzyce się w ogóle nie znam. Po prostu jej używam. I kocham ją. Ale czy używam jej zgodnie z przeznaczeniem, tego naprawdę nie wiem. Podobno Ravel płakał słuchając Pietruszki czy Święta wiosny i to także chyba jest przykład używania niezgodnego z przeznaczeniem.

**N.: Jednak pana upodobania są chyba wyrazem jakichś głębszych spraw, konstytucji artystycznej i mają jakiś związek z pana sztuką. A gdybym pana zapytała jak plasuje pan swoje obrazy w tradycji sztuki prasowej?**

B.: Poczuję się do tradycji XIX-wiecznej. Z racji warsztatu, nie sposobu widzenia, kompozycji, oświetlenia i sposobu przedstawiania przedmiotu. Chociaż pejzaż dziewiętnastowieczny silnie na mnie oddziaływa.

**N.: Patrząc na sprawę jeszcze z innego punktu widzenia, krytycy widzą u pana pewne pokrewieństwa z wieloma artystami, dość zresztą odległymi od siebie nawzajem, takimi jak: Bosch, Breughel, Blake, Breton.**

B.: Spośród wymienionych przez panią najbliższy jest mi Blake. Ale bardziej Turner. Co oczywiście nie znaczy, że chciałbym malować „turnery”. Pociąga mnie w jego obrazach wizja malarska.

**N.: Ale w pana obrazach jest nie tylko wizja, lecz także pewne treści, symbole, warstwa znaczeniowa.**

B.: To raczej oglądający przypisują im pewne treści. I zapewniam panią, że jestem zadziwiony, wysłuchując kolejnych i kompletnie sprzecznych egzegez tego samego obrazu wygłaszanych przez różne osoby w poniedziałek, czwartek i piątek jednego tygodnia. Co utwierdza mnie w przekonaniu, że jest to jak gdyby test projekcyjny. Zresztą nie lubię rozmów na temat moich obrazów. Mój stosunek do nich jest chyba autystyczny i uważam, że ich treści są po prostu nieprzekazywalne.

**N.: Jednak gdy się ogląda maleńką i samotną postać ludzką w zmonumentalizowanym i groźnym krajobrazie, a nie grę plam barwnych i form – jest rzeczą naturalną, że szuka się w tym obrazie jakiegoś przekazu, refleksji o świecie.**

B.: Chyba niesłusznie, ponieważ moje obrazy niezależnie od tego, co maluję, wywodzą się z doświadczeń abstrakcjonizmu. Zaczynałem zresztą jako abstrakcjonista. Jeśli na przykład przedstawiam postać bez oczu nie należy tego faktu analizować ani z punktu widzenia psychologii głębi, ani doszukiwać się treści politycznych. Dla mnie wartość moich obrazów tkwi w tym, co one sobą reprezentują z punktu widzenia malarskiego, ale oczywiście chodzi mi też o atmosferę, którą usiłuję wyrazić, którą czuję, ale której nie umiem nazwać.

**N.: Czy sądzi pan, że wielbiciele pana obrazów i co, którzy je kupują tak je właśnie odbierają?**



B.: Nie jestem pewien. Ci, którzy je kupują czy kolekcjonują, gromadzą je według jakiejś zasady – jedni zbierają pejzaże, inni – głowy.

**N.: Dużo pan sprzedaje?**

B.: Raczej tak.

**N.: A chętnie?**

B.: Nie bardzo. Ostatnio nawet staram się nie sprzedawać. A jak ktoś bardzo chce kupić, obiecuję za pół roku. Bo nawet najgorsze moje obrazy mają w sobie coś, co dla mnie jest ważne. Pomimo błędów, które doskonale widzę. Chciałbym mieć bardzo duży dom, żeby one wszystkie wisiały na ścianach.

**N.: I nikomu ich nie pokazywać?**

B.: Wybranym.

**N.: A przecież bierze pan udział w rozmaitych wystawach. Widziałam pana prace w „Zachęcie”, w „Desie”, w galerii Alicji i Bożeny Wahl.**

B.: W ogóle wystawiam rzadko i niewiele, to co pani widziała w „Desie” było chyba przeznaczone na sprzedaż. W Polsce utarło się mniemanie, że wystawa jest czymś więcej niż zaoferowaniem towaru i chyba mówiąc o tym, że niechętnie wystawiam, ten właśnie punkt widzenia mam na myśli. Jeśli idzie natomiast o wystawę w Zachęcie, to nie była ona organizowana przeze mnie. Obrazy były wypożyczone przez organizatorów ze zbiorów prywatnych i z muzeum, ja w ogóle nie miałem z tą wystawą wspólnego. Reasumując: wystaw nie znoszę. Maluję wyłącznie dla siebie.

**N.: Podobno sztuka jest jednak faktem społecznym. Więc dla siebie czy dla ludzi?**

B.: Tylko szaleńcy nie są sprzeczni wewnątrznie. Chciałbym, żeby moje obrazy wisiały w jakichś domach, a równocześnie jestem chory, gdy je sprzedaję. Jestem więc pewnie doskonale sprzeczny.

**N.: Jak przyjmuje pan krytykę?**

B.: Nie przywiązuję do tego nadmiernej wagi. U nas na ogół wszystkich się głaszcze, bo sztuki nie traktuje się zbyt serio. Z jednej strony brak trochę rewolwerowych pism, a z drugiej – szybko reagującej krytyki. Poza tym ja w ogóle strasznie niewiele czytam, a szczególnie niewiele z zakresu sztuki. Muzyka jest tym jedynym chyba kanałem, którym dociera do mnie sztuka. Na wystawy także chodzę niechętnie, nawet na własnych nie bywam, bo wprowadza mnie to w stan nerwowego napięcia. A na cudzych – albo to, co

widzę mi się nie podoba, albo mi się podoba, co oznacza, że ktoś inny maluje tak, jakbym chciał malować, a nie potrafię, co mnie z kolei pogrąża.

**N.: A kto maluje tak, jak pan chciałby malować?**

B.: To nigdy nie jest bez zastrzeżeń. Ostatnio zetknąłem się albumem szwajcarskiego malarza – Giger, którego też zresztą nie w pełni akceptuję, ale zachwyciło mnie jego rzemiosło. Robi on coś pod pewnym względem podobnego do tego, co ja. I pewnie nie on jeden. Może jest nas dwudziestu, albo trzydziestu?

**N.: W swoich podróżach nigdy pan się z nimi nie zetknął?**

B.: Nie mogłem się zetknąć, ponieważ ja w ogóle nie podróżuję. Nawet w Czechosłowacji nigdy nie byłem. Jestem szczególnie uczulony na niewygodę turystyki. Gdybym wiedział, że boy będzie mi wnosił walizki do hotelu i otwierał drzwiczki

samochodu, może bym się gdzieś wybrał. Ale ponieważ mi to nie grozi, więc siedzę w domu.

**N.: Pan jest z wykształcenia architektem, prawda?**

B.: Tak. Od dzieciństwa rysowałem, nawet miałem wystawy w moim prowincjonalnym gimnazjum, a marzyłem o szkole filmowej, ojciec jednak przekonał mnie, że nie są to czasy odpowiednie dla działalności artystycznej i namówił na architekturę. Pracowałem w zawodzie zaledwie trzy lata i wyłącznie w wykonawstwie.

**N.: Uważa pan zawsze, jak wielu dzisiejszych architektów, że ta dziedzina nie daje obecnie – z przyczyn ogólnie znanych – szansy samorealizacji?**

B.: Nie, po prostu co innego mnie zajmowało. A co do powszechnego wyrzekania na koszarowy styl osiedli mieszkaniowych, to tak krawiec kraje jak materii staje.

Dyskusowanie na temat piękna architektury w sytuacji, gdy olbrzymia ilość ludzi czeka po 12 latach na mieszkanie, a równie olbrzymia mieszka jak zwierzęta, jest po prostu cokolwiek niemoralne. Musimy niestety budować koszary.

**N.: Czy swoje malarskie umiejętności warsztatowe wyniósł pan ze studiów?**

B.: Chyba nie. Na architekturze uczyłem się rysunku. I nigdy nie osiągnąłem z tego przedmiotu więcej niż dostatecznie z plusem. Mieliśmy dwanaście godzin na akt. Robiłem to w 3 kwadransie, a potem leciałem do kina. A czy Akademia uczy malować? Miałbym poważne wątpliwości. Akademię od wielu już lat uczą tego, czego nauczyć nie sposób, mianowicie wrażliwości artystycznej. Absolwent Akademii nie wie natomiast jak gruntować, jakie farby z jakimi wolno mieszać, a jakich z jakimi – nie. Nie wie właściwie nic z tego, co jest wiedzą przekazywalną i co winno być przekazywane, wie natomiast – ale z drugiej ręki – prawie wszystko o tym, co jest nieprzekazywalne. Jako perfekcjonista zamęczałem wszystkich znanych mi osobiście absolwentów Akademii w sprawach

warsztatu i nie dowiedziałem się niczego, przeczytałem wszystkie dostępne i sprzeczne ze sobą podręczniki technologii malarskiej, wreszcie spartoliłem bezpowrotnie szereg obrazów własnych stosując niewłaściwą technikę malowania. Czy nie partolę tak nadal – czas to wykaże. U nas w Polsce jednak nie ceni się perfekcjonizmu, być może wynika to z narodowego lenistwa. Chyba wszyscy jesteśmy zbyt leniwi, jeżeli idzie o długotrwałą systematyczną pracę.

**N.: Pan też? Chyba nie?**

B.: Ja też do pewnego stopnia. Gdy maluję twarz ludzką, chciałbym namalować nie tylko każdy fałd, ale każdy por skóry, i każdą w nim kropelkę potu. I męczę się szybko. I nieraz miałbym ochotę ten obraz rzucić. Nie mówiąc o tym że, nie zawsze stać mnie na taką precyzję, jaką sobie założyłem. Zdecydowanie natomiast nie cierpię tego, co uważane jest z osiągnięcie – nonszalancji sztuki współczesnej. Wiem, że moje poglądy na sztukę są ogromnie niepopularne i że wiąże się je z moim długotrwałym pobytem na prowincji.

**N.: To już dzisiaj chyba trochę zabawne.**

B.: A jednak. Podobnie zresztą jak i tłumaczenie pewnych cech mojego malarstwa moimi zainteresowaniami fotografiką. A to wszystko było nieco inaczej – Zaczynałem od płaskorzeźb spawanych w metalu. Były to rzeczy abstrakcyjne. Dopiero później, stopniowo się przestawiałem. Najpierw równolegle do prac abstrakcyjnych zacząłem „do szuflady” robić małe rysunki przedstawiające, ale bardzo odrealnione jeśli idzie o samą formę przedstawiania. Potem przyszło malarstwo olejne. Równolegle szła zmiana sposobu przedstawiania, który coraz bardziej zbliżał się do realizmu, czy jak kto woli, kolorowej fotografii, na której oczywiście fotografowana była nieco osobliwa i raczej oniryczna rzeczywistość?

**N.: A kiedy pojawiło się to, co się określa pana teatrem okrucieństwa?**



B.: Niczego takiego u siebie nie widzę. Nie znoszę takich rzeczy. Nie cierpię czytać i oglądać rzeczy związanych np. z okupacją, nie oglądam z reguły japońskich filmów, ponieważ na widok harakiri robi mi się niedobrze. I naprawdę nie wiem, skąd te opinie?

**N.: W obrazach sprzed kilku lat chętnie pokazywał pan ludzi odartych ze skóry, nagie mięśnie, krew, rany. To się zapamiętuje.**

B.: W każdym razie nie wynika to ani z okrucieństwa, ani z chęci epatowania. Lubię np. malować skórę. Obraz jest dla mnie czymś niesłychanie odległym od jakiejkolwiek realnej rzeczywistości. Przekazuje rzeczywistość wyobrażoną i jak już powiedziałem oniryczną. Sen może być przerażający, ale nie jest okrutny w tym znaczeniu, w jakim może być okrutna dokumentalna fotografia. Są zapewne ludzie, którzy krew na obrazie kojarzą z krwią wyciekającą z rany. Może to jest profesjonalne skrzywienie, ale z całą odpowiedzialnością mogę pani oświadczyć, że dla mnie jest to przede wszystkim lepiej lub gorzej położona farba i że dominuje problem malarski. Poza tym oczywiście istnieje

treść, ale jest to treść wyobrażenia – treść czegoś, co nie istnieje, co nie ma żadnego odpowiednika w rzeczywistości. Może tu znowu zauważy pani sprzeczność, ale już o tym mówiliśmy, że nie umiem uciec przed sprzecznościami.

**N.: No właśnie – mówi się, że łączy pan w swoim malarstwie tradycjonalizm techniki z radykalnym nowatorstwem. Zgadza się pan z tą opinią?**

B.: To nie jest dla mnie takie istotne. Najważniejsze w sztuce jest dla mnie to, co sami wymyślimy. Dlatego też cenniejsze wydaje mi się naiwne filizofowanie w kontakcie z gwiezdny niebem, niż preparowanie uczonych przyczynków do strukturalizmu. Chciałbym w sztuce pozostać amatorem.

**N.: A jak czuje się pan w Warszawie? Bo przecież bardzo niedawno przeniósł się pan z Sanoka? Jak czuje się pan w środowisku?**

B.: Zacznę od końca: środowisko to jest to, od czego uciekam. Nie znoszę tego stereotypu egzystencji, która nabrała cech społeczno-politycznej struktury. Choć oczywiście trudno uniknąć pewnych kontaktów, współpracy z jakimiś instytucjami np. pisania życiorysów wymaganych przez instytucje artystyczne. Przy tej okazji zdałem sobie sprawę, że moja biografia artystyczna mieści się niemal w kilku zdaniach, ponieważ nie jeździłem za granicę, nie otrzymałem żadnych medali, nie należę do żadnej grupy artystycznej, ani nie pełniłem żadnych zaszczytnych funkcji. Jest ona o wiele krótsza od przeciętnej biografii dwudziestoparolatka, mimo że jestem już po pięćdziesiątce. Więc na ile to możliwe uciekam od tych spraw i żyję w swojej wieży z kości słoniowej...

**N.: W bloku na Służewcu nad Dolinką w Warszawie.**

B.: A no tak. Wolałbym wprowadzić na skrzyżowaniu Marszałkowskiej z Trasą Łazienkowską, bo tam jest podobno największy współczynnik hałasu i ni byłbym zakałą

otoczenia. A najchętniej mieszkałbym w Hamburgu lub w Nowym Jorku, w takim gotującym się piekielnym kotle, monstrualnym skupisku ludzkim.

**N.: Nie sądzi pan, że ten zupełnie niezwykły gust do światowych metropolii zawdzięcza pan długoletniej ciszy swojego ogrodu w Sanoku?**

B.: Możliwe.